

# UWIEŻIONA

KOMEDJA W JEDNYM AKCIE.

## O S O B Y:

---

CZERSKI.

KONSTANCJA, jego żona.

WILA, siostra Czerskiego.

BONUŚ, krewny Konstancyi.

JULIUSZ, obywatel wiejski.

MARTA, {

DOMINIK, { służący Czerskich.

Rzecz w Warszawie, w mieszkaniu Czerskich.

---

Salonik bardzo wykwintnie umeblowany. — Główne wejście z głębi. — Z prawej drzwi do dalszych pokoiów, z lewej do buduaru Konstancyi.

## SCENA PIERWSZA.

KONSTANCYA, BONUŚ.

(Konstancya pozuje, Bonuś lepi z gliny jej medalion).

BONUŚ (po chwili): I znowu kuzynka się ruszyła... Nie, słowo honoru, z temi kobietami to nie do zniesienia!... W niczem wytrwania, ani stateczności... Piąta zmiana w ciągu kwadransa... Wolałbym modelować dwudziestu mężczyzn niż jedną białogłową... Tym sposobem nie skończymy nigdy.

KONSTANCYA: Ale... bo zdawało mi się... tak, tak — mąż przyszedł.

BONUŚ: Więc coś ztąd?... Wielkie dziwy codzień robi to samo i niejednokrotnie — wraca na obiad, wraca na noc...

KONSTANCYA: Ciekawam, czy zamówił bilety na jutro?

BONUŚ: Na jutro... a cóż to jutro?

KONSTANCYA: Nie wiesz?... Jutro nowy śpiewak, słynny włoski tenor z La Scala.

BONUŚ: A prawda, prawda.

(Głębą wchodzi Czerski).

## SCENA DRUGA.

CZERSCY, BONUŚ.

KONSTANCYA: Dzień dobry, mężulku. Bilety są?

CZERSKI: Jakie bilety?... Ah, na śmierć zapomniałem... bo też ty nie możesz posłać służącego, tylko mnie koniecznie zawracasz głowę lada drobnostką. Dziś właśnie mieliśmy sesję. Prezes był w najgorszym usposobieniu, asesor nie odrobił potrzebnych papierów, ztąd rwetes, płatanina... Prezes oponował wszystkiemu — całą sprawę na nowo przerabiać potrzeba, ponieważ znalazł się dokument, istnienia którego zaprzeczały strony. Tydzień roboty na marne.

KONSTANCYA: Ah Boże, to jutro już będzie zapóźno.

CZERSKI: Do czego zapóźno?

KONSTANCYA: Do dostania biletów — kasa od wczoraj w obłożeniu.

CZERSKI: Ah, ta znowu swoje! Pójdziemy innym razem — cóż to, teatr ucieknie?...

KONSTANCYA: Ale tenor wyjedzie.

CZERSKI: Z Panem Bogiem — pieniądze zostaną — dość ich i tak wędruje za granicę. (Do Bonusia) Jakże tam robota postępuje, he? (przyglądając się medalionowi na deseczce) No, nie źle, nie źle... podobieństwo jest — lecz wyraz... wyraz twarzy...

BONUŚ: Jakże wyraz, kiedy ich siedmnaście na minutę! Tu by i sam Langner, mój profesor, nie poradził.

CZERSKI: Ale, spotkałem biedaka na schodach wła-

śnie, wracał do siebie, odpoczywając co trzy stopnie. Zdaje się, że on nie długo pociągnie, co?

BONUŚ: Padnie odrazu, jak drzewo podcięte. Aneryzm w najwyższym stopiu — ataki coraz częstsze.

KONSTANCYA: Odwiedź go, mężulku — w jednym domu przecie.

CZERSKI: Odwiedzę, odwiedzę dziś jeszcze. No Bonus, do dzieła, popatrz, jak ty majstrujesz.

KONSTANCYA: Eh, kiedy mi te bilety popsuky humor.

CZERSKI: Siadaj, siadaj — jakaż tam poza? (Bonus pozuje Konstancją i wraca do gliny — Konstancya odwraca głowę). Ah Boże, kuzynko! głowa ku mnie. (Słychać dzwonek) Znowu ktoś! wizyta niezawodnie.

(Wchodzi głębią Wila, w ubraniu podróżnym).

## SCENA TRZECIA.

TEŻ I WILA.

KONSTANCYA (zrywając się) Wila!

(Wila bardzo elegancko ubrana, lecz w nader złym humorze. Wszedłszy, rzuca parasolkę na jedno krzesło, torebkę podróżną na drugie, szal na trzecie).

CZERSKI: Wila!

WILA (obojętnie): Ja. Jak się macie?

KONSTANCYA: A ciotka?

CZERSKI: Przyjechałaś sama?

WILA: Sama — i cóż tak nadzwyczajnego!

KONSTANCYA: Czy się co stało? Ciotka zachorowała — albo jakie nieszczęście?

WILA: Nic, nic.

CZERSKI: Więc...

WILA: Więc?... więc poco przyjechałam, chcesz spytać? Śliczne powitanie!

KONSTANCYA: Ależ broń Boże... tylko zdziwienie.

CZERSKI: Że taka sama jedna.

WILA: No, no, uspokójcie się. Do stacyi przyjechałam powozem, na kolei wsiadłam w przedział damski, tutaj, na dworcu w karetkę — i oto jestem. Nikt ani spojrzął na mnie. Czyście zadowoleni?

KONSTANCYA: Coś jednak stało się z pewnością — nigdy nie podróżowałaś sama.

WILA: Trzy godziny jazdy — ona podróżą nazywał

CZERSKI: Ciotka pod tym względem...

WILA (kończąc): Należy do zacofanych. Tym razem wszakże ustąpiła a raczej postąpiła.

KONSTANCYA: A narzeczony? Z nim może przyjechałaś, byłoby to jeszcze niewłaściwiej.

WILA: Niewłaściwiej!... Nie obawiajcie się, na żadne skandale nie będziecie narażeni przezemnie — a jeśli przyjazd mój tak was niemile zadziwił, nie zabawię tu długo, mam zamiar udać się do Joasi, do Drezna. Na szczęście mam siostrę, która, mieszkając zagranicą, mniej jest pewno od was pedantyczną.

KONSTANCYA: Wszelako...

WILA: I nie zawoła z podniesionemi w niebo dłońmi:

(patetycznie) „Koniec świata blizki! Otóż już panny (naturalnym tonem) dwudziesto-trzyletnie (znowu patos) gonią samopas piekielnemi machinami“.

CZERSKI: Przyznasz jednak...

WILA: Przyznam, przyznam wszystko, co zechcecie, tylko pozwólcie mi odetchnąć, rozebrać się... A także mogliście byli przyjąć mnie inaczej — (chce oddalić się na prawo, spostrzega Bonusia — nieco zmieszana i zawstydzona) Ah, pan Bonifacy! przepraszam, nie spostrzegłam. (Znika na prawo).

## SCENA CZWARTA.

CZERSCY, BONUS.

KONSTANCJA: A to co? co się stało? Jakaś zdenerwowana, rozdrażniona?

BONUS: Istotnie — tak zawsze uprzejma, wesola.

CZERSKI: Nie pojmuję.

KONSTANCYA: Coś tam zajść musiało...

CZERSKI: Ani wątpić.

KONSTANCYA: Pogniewała się z ciotką...

BONUS: Albo z narzeczonym.

CZERSKI: Z narzeczonym! dajże pokój! Ten biedny Juli zakochany w niej po uszy, patrzący na wszystko jej oczami, poważylby się narazić w czemkolwiek, mieć odmienne od niej zdanie? Nie! Na to on chyba nie zdobędzie się nigdy!

KONSTANCYA: Niekiedy i najłagodniejszy w wilka się przemienia — wy to potraficie!

CZERSKI: Ależ Juli, Juli, Juli! Nie, nie uwierzę nigdy.

KONSTANCYA: Zazdrosny jest, porywczy—cicha woda.

CZERSKI: Prędej z ciotką zwada. Wila jest kapryśna, samowolna, żywa, rozpieszczona a nadewszystko...

BONUŚ (przerywa ze śmiechem): Śliczny portret skreśliłeś wobec kawalera.

CZERSKI: Kawalera! Eech, ty się nie liczysz przecie...

BONUŚ: Nie liczę? A to dlaczego nie liczę? Ciekawym! Nie liczę!

CZERSKI: Młodszyś od niej.

BONUŚ: O rok niespełna — wielka historia!

KONSTANCYA: Ciotka jest sobie staropolska, cicha matrona, Wila zaś...

CZERSKI: Zagorzała reakcyonistka.

BONUŚ: Reformatorka aż strach!

KONSTANCYA: Dajcie pokój, dajcie pokój — rozumna dziewczyna, ukształcona, myśląca, a że mówi, co myśli — to tem lepiej.

CZERSKI: Zapewne, lepiej że mówi, niż żeby robiła.

KONSTANCZA: A choćby i robiła, co myśli, toby także nic złego nie zrobiła, bo z gruntu szlachetna jest, uczciwa, z sercem najtkliwszem. Ale wam to nie w smak, lubicie gąski i jak tylko kobieta...

CZERSKI: Kociu, Kociu, nie zapędzaj się, bo nie wybrniesz!

KONSTANCYA: Nie wybrnę! dzięki za komplement...  
Zatem ja jestem tak już ograniczona, że... Otóż to mieć męża! śliczna pociecha! Same tylko impertynencye, niegrzeczności a przysługi żadnej... Marnych biletów doprosić się nie można... żeby dla panny, to bodaj z pod ziemi, ale dla żony... naturalnie! ktoby się tam trudził... dla żony! naturalnie!

(Odchodzi nadąsana na prawo).

## SCENA PIĄTA.

CZERSKI, BONUŚ, później DOMINIK.

CZERSKI: Wiwat! i ta rozdąsana! Licho z temi biletami! z temi babami! Nie mogłeś się być postarać ty — nie masz nic do roboty, bąki zbijasz dzień cały.

BONUŚ: Bąki zbijam! Aaa, wiesz, jaki ty masz styl wykwinny, to słowo daję, że... Zresztą zkadże pewność, żem się nie starał?

(Dominik wnosi gazety, które rozkłada na stole).

Odpowiedziano mi w kasie, że już niema nic.

CZERSKI: Żebym miał jaką znajomość w teatrze, toby może przez protekcję—ale nie znam żywej duszy... Ah, Kocia będzie się dąsała dwa tygodnie. Co począć? co począć?

DOMINIK (zbliżając się): Proszę łaski pana... o znajomość z tyjatem chodzi?

BONUŚ: Aha, dla dostania biletów.

DOMINIK: To nasza kucharka ma stosunki z tyjatem.

BONUŚ: A! kucharka?

DOMINIK: Eufrozyna; tak, proszę pana.

CZERSKI: Eh, mój kochany, już taki jesteś głupi, że... eh!

DOMINIK: Aaa proszę łaski pana, nie takim znowu głupi, jak pan raczy mówić...

BONUŚ (na stronie): Nie, tylko dziesięć razy głupszy.

DOMINIK: Bo to nasza kucharka, to nie jest sobie taka prosta, zwyczajna kucharka, jak inne. Ona była na pensyi.

DOMINIK: Ano i cóżby!... gotowała.

CZERSKI: Aha!

DOMINIK: Dla panien i dla guwernantek jeść gotowała.

BONUŚ: Dla guwernantek! Aaa to rzeczywiście nie musi być bez edukacji.

DOMINIK: Spodziewam się! Kto był na pensyi...

BONUŚ: Za kucharkę.

DOMINIK: To proszę pana już mała różnica, zawsze ona ocierała się o ludzi uczonych — bo tam i profesorów przychodziło mnóstwo... na kolację.

BONUŚ: Hm, hm.

DOMINIK: Odezwałem się z prepozycją... ale państwo gardzą to... to ja... cofam.

(Ułożywszy gazety, wychodzi głębia).

## SCENA SZÓSTA.

CZERSKI, BONUŚ.

BONUŚ: Ah, czekaj — to ja znam bardzo blisko jednego dramaturga, którego sztuki z wielkim powodzeniem grywane są na naszej scenie. Pójdę do niego... coś u licha, przecież autor dramatyczny... poprobuję.

(Kieruje się ku odejściu).

CZERSKI (wstrzymując go): Napróżno, napróżno, Bonku kochany. Ani znajomość twoja, ani stosunki naszego Dominika na nic się nie zdadzą.

BONUŚ: W takim razie pozostaje mi jedynie biedz na miasto, stanąć z rewolwerem na skrawku ulicy i (jakby wymierzał lufę do publiczności) „Bilety albo życie“!

(Wybiega głębia — z prawej wchodzi Wila i Konstancja).

## SCENA SIÓDMA.

CZERSCY, WILA, później DOMINIK.

KONSTACJA: Zatem żadną miarą wyznać nie chcesz, co ci dolega, jaki dręczy cię smutek...

WILA: Ponieważ nic mi nie jest — i nie wiem z kądem uroiliście sobie...

CZERSKI: Oj, że nie jesteś w zwykłym usposobieniu, to daję głowę. Ten rumieniec, iskrzące oko, ton sarkastyczny... jakaś gwałtowność ruchów...

KONSTANCJA: Do rodzonego brata, do bratowej na-

leżałoby może więcej mieć zaufania. Wiesz, że życzymy ci jaknajlepiej, kochamy serdecznie...

WILA: Wierzę, wierzę, lecz właśnie, skoro kochacie, dręczyć mnie przestańcie pytaniami, ciekawością. Nic mi nie jest, nic mi się nie przytrafiło — przyjechałam tu, bo mi się wieś uprzykrzyła, jadę za granicę bo mię znudził kraj — oto wszystko — dixi!

CZERSKI: A narzeczony?

WILA: Niechaj sobie szuka innej narzeczonej.

CZERSKI: Aha, rozumiem — tu tkwi causa princeps.

KONSTANCYA: Pokłóciłaś się z Julim?

WILA: Pokłóciłaś!? co za wyrażenie.

KONSTANCYA: Więc pogniewałaś się...

WILA: Oh, nie męczcie mnie dłużej. A na dowód żem w najlepszym humorze i ani myślę się trapić, zaśpiewam wam ślicznego walczyka — posłuchajcie.

(Siada do fortepianu i preluduje. Wpada głębią Dominik).

DOMINIK: Pan Langner zasłabł nagle i pomocy wzywa.

CZERSKI: Biegnę, biegnę!

KONSTANCYA: I ja, i ja!

(Wszyscy troje wybiegają głębią).

## SCENA ÓSMA.

WILA, później MARTA.

(Wila preludując nie uważała wejścia Dominika, ani zniknięcia Czerskich — gra dalej pierwszą część walca — wchodzi

Marta głębią, rozgląda się dokoła a nie widząc nikogo zbliża się do fortepianu).

WILA (zrywając się szybko): Marta! tutaj! tutaj! a to zkad? dlaczego? poco? Kto cię przysyła?... Mówże, mów prędko... kto? kto?

MARTA: Ja tu z listem do panienki.

WILA (żywo): Z listem... od?

MARTA: Od pani ciotki.

WILA (zawiedziona): Od... ciotki.

MARTA: Pan Juliusz przyjechał do nas dziś rano, w kwadrans może po odjeździe panienki, błąd jak śmierć... Pani siedziała na werendzie, pijąc kawę i karmiąc Filusia, — ja znajdowałam się... z przypadku, w kredensie, widziałam tedy i słyszałam wszystko dokumentnie. Pan Juliusz najpierw pokazał pierścione, odesłany mu przez panienkę — spytał, czy pani o tem wie i prosił, że pragnie zobaczyć się z panienką. Aj, trza go było widzieć, skoro usłyszał, że panienki nie masz, że wyjechała... Z bladego niby chusta, myślałam, że go krew zaleje... Pot wystąpił mu na czoło, musiał usiąść — tak się trząsł cały... chciał coś przemówić a tu ani w ząb, jeno mu wargi latają a głos gdzieś het, het, przepadł. Pani wylękała się okrutnie, aż kawę rozlała i Filusia oparzyła. Filuś uciekł, skowycząc. Pani woła na mnie o szklanek wody — pan Juliusz się napił i nuż w prośby, gdzie panienka? u kogo? Pani nic, ani pary z ust. Mój pan Juliusz dopiero jak ci nie weźmie lamentować, jak ci nie weźmie molestować... panią po rękach i nogach całować... aż pani...

WILA: Cóż? przecież mi przyrzekła.

MARTA: Ba, panienka sama żeby go obaczyła...

WILA (b. wzruszona): Dalej, dalej...

MARTA: Jak ci dopiero nie weźmie drzeć się za łeb, zaklinać panią na wszystkie świętości, przysięgać, że Żelskiego zastrzelili, aż pani się ulitowała...

WILA: I powiedziała!

MARTA: Nawet przy nim napisała ten list.

WILA (przebiegając list): Nagłacy mię do powrotu — o, nic z tego, nic!

MARTA: Stangret z Topielina opowiadał, jako pan Juliusz wróciwszy do nas onegdaj, nie kładł się do łóżka całkiem, jeno calusienką noc do białego dnia chodził a chodził po ogrodzie — a gdy już słońko dobrze było wysoko, siadł na koni i jak wicher pędził po polach do zachodu. O zachodzie wrócił do domu i akurat przyniesiono list z Brzozowicy od panienki. Mój pan Juliusz zadygotał cały we frybrze i ledwie mógł rozerwać kopertę... pierścionek potoczył się na podłogę a biedny pan Juliusz... Eh jak bożię kocham, panienka to chyba bez litości jest, bez miłosierdzia!

WILA (żywo): Cóż, coś pan Juliusz?

MARTA: Ano, jak długi runął pod stół i takiego dostał ataku sercowego, jakiego już od dziesięciu lat pono nie pamięta.

WILA (zmienionym głosem): Marto!

MARTA: Stangret powiada, że stara Feliksowa, klucznica, co pana Juliusza wypiastrowała, mówi, że pan Juliusz od dziecka nie domagał na serce i doktory mu nawet długiego żywota nie wróżyli, nadewszystko zaś unikać kazali zmartwienia.

WILA (usiłując ukryć wzruszenie): Cóż dalej? coś dalej?

MARTA: Ano, dalej już nic. Tylko że leżał parę godzin jak *przez* duszy, że mu na serce przykładali przeróżne różności, potem usnął. Dziś raniusieńko przyjechał do nas do Brzozowicy dla zobaczenia się z panienką a, nie zastawszy—uradzili z panią ciotką...

WILA: Cóż, coś uradzili?

MARTA: Eh, bo może panienkę nudzę mujem gadaniem?

WILA: Nie, nie—mów dalej!

MARTA: Panienka była taka rozgniewana...

WILA: I jestem—lecz prędszej, prędszej!

MARTA: Uradzili, powiadam, wyprowadzić mnie następnym pociągami, z listem do panienki. Ja przecież na stacji dostrzegłam, jak podobnusienski do pana Juliusza wskakiwał do wagonu i...

WILA: I ruszył w świat.

MARTA: A ponieważ panienka jego całym światem, tedy...

WILA: No dobrze już, dobrze—ale nie nudź mnie dłużej, bo doprawdy wszystko to najzupełniej mi obojętne — i pan Juliusz i jego ataki sercowe i stangret, a nawet siwa Feliksowa. Ty zaś wracaj do domu, spakuj moje rzeczy i przywieź je tu—pojedziemy dalej. Ciotce natychmiast odpiszę.

(Odchodzi na prawo).

## SCENA DZIEWIĄTA.

MARTA, później JULIUSZ.

MARTA (sama): Nic ją nie obchodzi... aha, gadaj to głupiemu, nie mnie!.. Ledwo dech złapać mogła... a głosu ani poznać, jej to czy cudzy... Święty Antoni Padewski! jacyż ci państwo z przeproszeniem... niemądrzy, męczą się, udają, wyprawiają ceregiele, czort wie na co i po co! Ja, kiedy się z moim pokłóć, grzmotną go raz i drugi w kark, on mnie gdzie dopadnie i za godzinę zgoda, sza, miłujemy się, jak za najlepszych czasów.

(Wchodzi ostrożnie Juliusz).

Ah, otóż i on! Moje oczy dobrze widziały... (udając zdziwienie). Ah, pan tutaj, tu!

JULIUSZ: Pst, pst, ciszej, Widziałas pannę Wilę?

MARTA: Tylko co ztąd odeszła.

JULIUSZ: I cóż? i cóż?

MARTA: Ha cóż, zła wciąż.

JULIUSZ: O ja nieszczęsny!.. Idź powiedz...

MARTA: Et, możeby lepiej pan sam.

JULIUSZ: Ah, ja nie śmiem, nie mam odwagi.

MARTA: A zamknąć pannę, to pan odwagę miał!

JULIUSZ: Zmiłuj się... nagrodzę cię sowicie...

MARTA: Ja tam chciwa nie jestem, jeno mi pana żal. (woła ku prawej) Panienko, panienko! zapomniałam powiedzieć... (Wila wchodzi z prawej, nie spostrzegając Juliusza, który się cofnął).

## SCENA DZIESIĄTA.

JULIUSZ, MARTA, WILA.

WILA: Czego chcesz jeszcze? Cobądź byś powiedziała, postanowienia nie zmienię. Jedź na wieś i wracaj tu z kufrem, z moimi rzeczami (spostregłszy Jula). Ah! (chce odejść—Juliusz zastępuje jej drogę).

JULIUSZ: Słówko jedno, Wilo! panno Wilo.

WILA: Napróżno, panie — między nami wszystko skończone. Wszak napisałam.

JULIUSZ: Przebaczania!

WILA: Nigdy! Nie przebacząją się zniewagi podobne. Żegnam.

JULIUSZ: Śmierci mojej żadasz! Odbierz napowrót ten pierscionek... Wilo, odbierz, jeśli nie chcesz bym tu skończył z żalu i rozpaczyl!

WILA: Przepraszam—nie mam czasu (chce odejść).

JULIUSZ: Wilo, Wilo, więc mnie nie kochasz już!

WILA (namiętnie): Nienawidzę!

(Oddała się na prawo).

## SCENA JEDENASTA.

JULIUSZ, MARTA.

JULIUSZ (rzucając się w fotel): Nienawidzę! oh!

MARTA: Eh, niechże pan znowu tak koniecznie nie

wierzy wszystkiemu. My, kobiety, lubimy się przekomarzać... ale równo serce jest, jest. Połóż pan pierścionek tu (na kominku) ona się namyśli, udobrucha... Ja teraz wrócę do Brzozowicy, sprowadzimy panią ciotkę, państwo Czerscy także dopomogą i wszystko jakoś ułoży się, ułoży najlepiej — zobaczy pan.

JULIUSZ (do siebie): Nienawidzi mnie!

MARTA: A, bajki. Rozgniewała się, bo jużci... któż słyszał pannę na klucz zamykać—ale wszak ci wiadomo: nie taki dyabeł czarny... i ona choć uparta, zmięknie, zmięknie... (bierze od Juliusza pierścionek i kładzie na kominku). No, a mnie pora w drogę, muszę uspokoić panią ciotkę. Upadam do nóg pańskich.

(Znika na prawo. Czerscy wchodzą głębia).

## SCENA DWUNASTA.

JULIUSZ, CZERSCY.

JULIUSZ: Państwo drodzy, nieszczęście, wielkie nieszczęście!

KONSTANCYA: Przyjechałeś pan!.. A więc dowiemy się nareszcie, co zaszło... co przyjazd jej znaczy... zły humor.

JULIUSZ: Wszystko, ah, wszystko opowiem najdokładniej, tylko błagam, pomóżcie mi przeprosić ją, ułagodzić.

CZERSKI: Siadajże, siadaj—i nie bierz rzeczy zbyt tragicznie. Z kobietami trzeba sprytnie, bo skoro tylko poznają, żeś mazgaj, tak cię wnet osiodłają, iż ani...

KONSTANCYA (przerywa): Dajże pokój z naukami. Mów pan, mów prędzej.

JULIUSZ (całując Konstancję w rękę): Ach pani łaskawa, okropne, okropne zdarzenie!.. Ona nic państwu nie mówiła?

CZERSKI: Ani słowa—lecz gadajże już raz!

JULIUSZ: Sam nie wiem od czego zacząć... Wiecie jak bardzo ją kocham...

KONSTANCYA (niecierpliwie): Do rzeczy, do rzeczy.

JULIUSZ: Owóż przed miesiącem — (całując w rękę Konstancję) zaczynam od początku—zjechał w nasze strony, do swoich dóbr—bo inaczej nie zrozumielibyście państwo — pewien pan Żelski, wielki fanfaron, zjadacz serc niewieścich, zgoła lowelas krajowy. Zobaczył pannę Wilę w kościele i natychmiast czepił się jej, niby smoła. Był codziennym gościem w Brzozowicy... Wila jest trochę, jak państwu wiadomo, zalotna—(całując w rękę Konstancję). Pani łaskawa wybacz, że ja tak otwarcie, ale my już przecie jakby rodzina. Uśmiecha się, do każdego wdzięczy... A że to facet zarozumiał, pewny siebie, więc z każdym dniem śmielszy, po rączkach całuje; oczy wywraca, komplementa prawi, których panna słucha mile... A mnie aż coś podnosił.. Błagam, proszę, zaklinam: „Nie przyjmuj pani tego zuchwalca, tego pyszałka, obgada cię, żeś nim zajęta, bądź zimniejszą, poważniejszą“.— Ona na złość zdwaja kokieterę; zazdrość moja ją bawi, radują męki piekielne... Ja tracę głowę. W okolicy śmieją się ze mnie, że mi Żelski pannę zdmuchuje, że jestem masło maślane, że pozwalam sobie skarb porwać z przed nosa—zgoła, żeś ostatni ślamazarnik. Stawcie się państwo w moim położeniu: z jednej strony panna zalotna, z drugiej Don Juan

bez sumienia, z trzeciej zazdrość, niepewność, miłość własna obrażona—(całując rękę Konstancyi). Ja przed panią łaskawą, jak na spowiedzi. Stan nie do opisania, trwający całe cztery tygodnie bez przerwy. Nie jem, nie śpię, truję się, chodzę, jak bez głowy. Nakoniec onegdaj jestem w Brzozowicy. Siedzimy z Wilą na werendzie, rozmawiając najczulej to o naszej przyszłości, to o naszym przywiązaniu—boć nam to przecie wolno, za parę tygodni miał być nasz ślub;—i tak sobie gruchamy słodko i w oczy sobie patrzymy rozkosznie i ściskamy się za ręce. Wila serdeczna jak anioł — dokoła nas, cudna natura w purpurze zachodzącego słońca — słowem jesteśmy w niebie!... Wtem trzask z bicia, bułanki Żelskiego. Mnie jakby kto ukropem oblał!.. Wila zerwała się także i... myk do swego pokoju — dla poprawienia włosów przez wiatr potarganych, czy dla innego powodu—nie wiem (całuje rękę Konstancyi). Wściekłość mnie porwała na tego natręta, co mi tak rajską zepsuł chwilę. Biegnę za Wilą i zobaczysz, wszy klucz we drzwiach od strony korytarza—zakręcam. Zamknąłem pannę na dwa spusty, klucz schowałem do kieszeni.

KONSTANCYA: Co!

JULIUSZ: Ani sposób wyjść do lowelasa.

CZERSKI: Daj go katu, a to mi radykalista!

JULIUSZ: Serce bije mi młotem, ale wracam na werendę jak gdyby nigdy nic i w nieobecności pań bawię gościa *miłą* rozmową. On się ogląda, kręci, chrząka, niecierpliwi—nadchodzi ciocia—pyta jej o pannę Wilę... Na to odpowiadam tryumfując ją: „Właśnie tylko co odeszła do swego pokoju“ (całując rękę Konstancyi). Ale co działo się pani łaskawa we mnie!.. Posiedziawszy ze trzy godziny i nie doczekawszy się Wili, odjechał zły, jak szatan. Ja pędzę co tchu,

by wypuścić pannę z więzienia, cały drżący, bo znając jej dumę, wiedziałem, jaką na siebie ściągam katastrofę...

KONSTANCYA: Ciekawam istotnie.

CZERSKI: Wyobrażam sobie burzę!

JULIUSZ: Cóż się dzieje—oto drzwi nie chcą się odemknąć—zasunęła je z wewnątrz na zasuwkę. Na moje prośby, zakłęcia, błagania, na nalegania ciotki nie otworzyła, tylko najspokojniejszym w świecie głosem rzekła do mnie przeze drzwi: „Jutro otrzymasz pan moją odpowiedź“.—I już jej nie zobaczyłem a odpowiedź: ten oto zaręczynowy pierścionek, który mi nazajutrz odesłała.

CZERSKI: Phii, źle, źle! gorzej niż się spodziewałem! Taki spokój olimpijski, taka powaga królowej... źle, bardzo źle!

JULIUSZ: Com przeszedł, ilem przecierpiał, czego doznaję w tej chwili — określić się nie da! W łeb Żelskiemu palnę, jeśli mi Wila nie przebaczy, jak mnie żywego widzieli.. Ratujcież tedy, radźcie, działajcie, bo ja już zupełnie rozum straciłem!

CZERSKI: Hm, hm, nie żarty, w samej rzeczy.

KONSTANCYA: Wila jest niezmiernie uparta i w gniewie zacięta.

JULIUSZ: Charakter ma, ja wiem.

CZERSKI: Widziałeś się z nią tutaj?

JULIUSZ: Tyle tylko by usłyszeć, że mnie nienawidzi.

CZERSKI (z ożywieniem): Nienawidzi! no to jeszcze nie wszystko stracone, no to jeszcze pół biedy!

JULIUSZ: Jakto, pół biedy?

CZERSKI: Ponieważ nienawiść to także miłość, tylko przewrócona na lewą stronę, podszewką do wierzchu. Obojętność jest zabójczą i beznadziejną, ale nienawiść... ho, ho, cenne to uczucie w piersi kobiecej!

JULIUSZ: Radźcie dla Boga, radźcie, co mam czynić, by ją przebłagać, przeprosić... zmiłujcie się, radźcie, ratujcie!

(Całuje Konstancję w rękę).

CZERSKI: Z upartymi trudna rada, im bardziej ich prosić, tem oni upierają się silniej. Możeby zostawić czasowi...

JULIUSZ: Ach, uchowaj Boże!

KONSTANCYA: Postap pan, jak w podobnych razach my, kobiety. Poczniż gniewać się gwałtowniej — hałasować więcej niż twoja przeciwniczka.

JULIUSZ: Ja?

CZERSKI: Doskonała myśl! Udaj, że taka zaciętość ujemnie oddziałała na ciebie. Że ponieważ nie uczyniłeś tego w żadnej złej myśli, z chęci obrażenia jej, lecz przeciwnie pod wpływem przywiązania; nadto, żeś tak gorąco przeproszał, żałował, boś żałował przecie?

JULIUSZ: Oh, mało nie umarłem! Ja mam wadę serca i każde silniejsze wzruszenie...

CZERSKI: Ona o tem wie?

JULIUSZ: Wie.

CZERSKI: Tem bardziej przeto łaj, oburzaj się, gorsz się jej nieczułością, nieludzkością. Powiedz że... że... iż...

KONSTANCYA: Że wszyscy błądzimy i że obowiązkiem jest przebaczać sobie wzajemnie drobne urazy, skoro zwłaszcza wiemy, że źródłem ich... ich...

CZERSKI: Źródłem ich: miłość bez granic. Zżymaj się tedy, stąpaj wielkimi (pokazuje) ot tak krokami, piorunuj, możesz nawet co stłuc—(do żony) może?

KONSTANCYA (z uśmiechem): Byle coś nie zbyt kosztownego.

CZERSKI (przynosząc): Tę ot figurkę naprzykład.

JULIUSZ: Nigdy, nigdy!

CZERSKI: Nieznośny!

JULIUSZ: Wynajdźcie co innego.

KONSTANCYA: To przynajmniej udawaj pan obojętność, chłód.

JULIUSZ: Nigdy nie zdobędę się na chłód.

CZERSKI: O dla Boga, nie bądź-że już tak kompletnym safandulą!

KONSTANCYA: My mu dopomożemy. Bo chociaż ja jako kobieta nie powinnam występować przeciw płci mojej, a jako krewna przeciw krewniej, to za zbyt dobrze znam pańskie przywiązanie i charakter oraz serce Wili, by dozwolić dwojgu najgodniejszym szczęścia ludziom rozejść się dla bagateli. Tylko proszę. usłuchaj naszej rady, nie roztkliwiaj się, nie rozrzewniaj w jej obecności... Zapanuj nad swym smutkiem i głuchym stań się na wszystko, co bądź ona mówić lub robić będzie.

CZERSKI: Tak, tak, spróbuj tego środka, zobaczysz, jak ją zaintrygujesz. Ale pst, otóż i ona — nie patrz na nią, nie odzywaj się, nie mrugnij okiem w jej stronę.

KONSTANCYA: Ot najlepiej... gazeta (kładzie mu

w rękę gazetę). Czytaj pan i nie zwracaj na upartą najlżejszej uwagi, jeśli rzeczywiście pragniesz wygrać sprawę.

JULIUSZ: Czy pragnę!

(Juliusz zagłębia się w czytaniu, Czerscy wzięwszy: jedno gazetę, drugie książkę, robią to samo. Wchodzi z prawej Wila).

## SCENA TRZYNASTA.

CZERSCY, JULIUSZ, WILA.

(Wila spogląda na nich zdumiona, oni czytać nie przestają. Zdumienie Wili wzrasta, nie wie, co począć z sobą, kręci się po scenie, nakoniec bierze ze stołu gazetę i również czytać zaczyna, spoglądając z pod oka na Juliusza i Czerskich. Po upływie dobrej chwili tej niemej sceny, wbiega gębią Bonus).

## SCENA CZTERNASTA.

CZERSCY, JULIUSZ, WILA, BONUS.

(Wszyscy zatopieni w czytaniu).

BONUS: Eureka! Victorial! jestem na tropie biletów, za kwadrans przyniesie je tu posłaniec. A co, nie zręczny jestem? nie pomysłowy? Ciekawiście państwo pewno jaką drogą trafiłem do nich? drogą rewolwerową myślicie? bynajmniej—posłuchajcie tylko, bo to cała Odyseja! Wyszedłszy ztąd... ale cóż to?... co znaczy to głucho milczenie? to gwał-

towna lektura? Czyliżby jaki nagły zwrot w polityce?... (do Konstancyi) Kuzynko, cóż tam dla Boga?... Panno Wilo?... Mówcież państwo... (zagląda przez ramię Juliusza) Inzeraty pan czytasz? (do Wili) A pani trzymasz dziennik do góry nogami?... Co się tu dzieje... mistyfikacja jakaś? przed kim? przedemną może... Oooh, ja ani myślę suszyć sobie mózgu nad jej zgłębieniem i tem ukarzę was najsrożej... wezmę się także do czytania, bo to już widzę epidemiczne (szuka gazety i spostrzega pierścione). Ah, jaki śliczny pierścionek, co za pyszny soliter! (przymierza). Takiego *solitera* tobym chciał mieć, słowo daję... (do Wili) To pani pierścionek, widywałem go na tym drobnym paluszku. Aha! domyślam się już wszystkiego!.. Eh, słowo honoru, dajcie państwo pokój tej komedii, założyliście czytelnię czy co! (wysuwa delikatnie z rąk Wili gazetę). Porzuć pani tę bibułę a popatrz na moją robotę, na konterfekt kuzynki Koci, czy ładny: o proszę zobaczyć (odsłania płótno zwilżone, którem przed wyjściem nakrył glinę) A co? jakie pani zdanie? podobieństwo jest? (Wila przygląda się robocie w głębi).

KONSTANCYA: Panie Juliuszu, a pan nie ciekawy mojej fizyognomii? zobacz proszę... (daje mu znak, by odmówił).

JULIUSZ: Eh, to później!

KONSTANCYA: Masz pan słuszność — zbliż się lepiej do oryginału. Siadaj tu, będę cię bawiła, jak na uprzejmą gospodynię przystało. A najprzód powiedz, na długo wybierasz się do Warszawy?

CZERSKI: Wieczorem odjeżdża.

KONSTANCYA: Tak prędko! dlaczego?

JULIUSZ (któremu Czerski daje znaki): Gospodarstwo... zajęcia...

CZERSKI: Przytem on w Warszawie nudzi się haniebnie!

KONSTANCYA (zalotnie): Prawda to? Aaa, tym razem nie puścimy pana, poprobuję ja rozweselić cię, zająć, przekonać, że my warszawiacy potrafimy być przyjemni i gości wiejskich serdecznie podejmować umiemy.

JULIUSZ: O, ja nigdy nie wątpię...

WILA (bacznie lecz ukradkiem śledząc tę rozmowę — na stronie): Czy on mnie nie widzi!

CZERSKI (do żony): Mów, duszko, o warszawiankach, gdyż to paniom głównie gród syreni urok swój zawdzięcza.

KONSTANCYA: Milejby mi było usłyszeć to od pana Juliusza.

WILA (na stronie): Jakim ona obrzuca go wzrokiem!

KONSTANCYA (zalotnie): Czy pan podziela zdanie mego męża?

(Juliusz lęka się odpowiedzieć, by nie obrazić Wili — kłopot jego bardzo wyraźny).

WILA (na stronie): Ah, co za śmiałość!

CZERSKI: Aa, nic nie pomoże—musisz zdobyć się na komplement.

JULIUSZ: O, proszę pani, jeślibym uciekał z Warszawy to... to... jedynie...

KONSTANCYA: Zgaduję, z obawy zakochania się tutaj — ale cóżby w tem było złego, wszak młody pan jesteś,

wolny... (rozmawiają dalej po cichu; Konstancya rozmyślnie kokietuje Juliusza bardzo wyraźnie).

BONUŚ (do Wili): A jak podoba się pani to uczesanie?

WILA (roztargniona): Które?.. uczesanie?.. to jest czyje?

BONUŚ: Kuzynki Koci—tutaj (ukazuje medalion).

WILA: Szkaradne.

BONUŚ: Ah, dziękuję!

WILA (oryentując się): Co? co pan mówi?.. Ah, pan pyta o medalion...

BONUŚ: Pani jest roztargniona... Ah, gdybyś to pani chciała pozować mi... z jakąż rozkoszą modelowałbym tę cudną główkę na Hebę lub Dyanę!

WILA (ustawicznie zajęta Julim i Konstancyą): Nie posiadam rysów klasycznych.

BONUŚ: Owszem, pani, owszem—a nawet jeden szczegół nader rzadki i jedynie w galeryach arcydzieł rzeźby greckiej spotykać się dający.

WILA: To jest?

BONUŚ: Stosunkowo do całości, główkę zamaleńką.

WILA: Doprawdy? nie wiedziałam, że to jest zaleta.

BONUŚ: Osobliwością nawet!

JULIUSZ (surowo): Jaki to szczegół, panie?

CZERSKI: Eh, oni tam sobie o sztuce, o rzeźbie (ciszej do Julia) Nie słuchaj, nie uważaj.

KONSTANCYA (do Julia): Ah, pan nie widział zapewne Kaina Duprez'go, przepyszny posąg w bronzie, znajdu-

jący się w pałacu Pittich we Florencji. W tych dniach przysłano mi jego reprodukcję; może pan przejdzie do mego buduaru dla zobaczenia (wyprowadza Julę pod rękę, na lewo).

(Nb. podczas całej poprzedniej sceny artyści rozdzieleni byli na dwie grupy).

WILA (na stronie): Nie pojmuję tej zmiany... ani jednego spojrzenia!

DOMINIK (wchodząc głębią): Jakiś posłaniec pyta o pana.

BONUS: Ah, wiem, wiem!

(Wybiega głębią, Dominik za nim).

## SCENA PIETNASTA.

CZERSKI, WILA.

CZERSKI: Moja żona w wyśmienitym dziś humorze.

WILA: A, i pan Juliusz także.

CZERSKI: Ph! on nie zupełnie; przyjechał zmartwiony, ale się pocieszy.

WILA: Pocieszył tak mniemasz?

CZERSKI: Naturalnie. Któż z nas nie sądzi w pierwszej chwili, że nie przeżyje tego lub owego ciosu, wprędce wszakże przekonywa się, że czas... Tyś się na niego zagniewała, zerwałaś układy... Cóż ma robić biedak... boleje, cierpi, lecz w końcu musi poszukać sobie pociechy.

WILA (z ironią): Przy twojej żonie?

CZERSKI: I przy innych. Znajdzie ją wszędzie, znajdzie.

WILA: Doprawdy?

CZERSKI: To dobre! Tyś myślała, że do zakonu wstąpi! Zaprezentowałaś się z fatalnej strony, niby jaka virago! My, mężczyźni, nie lubimy takiego hartu, takiej zaciętości w kobiecie. Ej, taka kobieta nie budzi najmniejszego zajęcia, bo bez wdzięku jest, bez poezji — to jakby drugi mężczyzna. Kochajże się tu w mężczyźnie!.. Co nas przywiązuje do płci słabszej, to ta jej słabość właśnie, delikatność, dobroć, słodycz, łagodność, wyrozumiałość. A czegoż to np. spodziewać się można od żony, kiedy, będąc panną, takie już rogi pokazuje. Ja sam uciekłbym od ciebie gdzie pieprz rośnie!

WILA: Nie wiesz, co mi zrobił!

CZERSKI: Wiem, wiem, opowiadał. Dowód, jak cię kocha. Żeby nie kochał, nie byłby zazdrosny. Wolałabyś, by patrzył obojętnie, jak oczy przewracasz do innych?

WILA: Nigdy mu nie przebaczę!

CZERSKI: To też on, zrozumiałwszy, że nie przełamię twego uporu, dał za wygraną.

WILA: Tak?

CZERSKI: A tak. Znajdzie sobie inną pannę, słodsza, tkliwszą. Panien przecież nie brak chyba na świecie.

WILA: Ojoj!

CZERSKI: A z niego chłopak ładny, majątny, ukształcony i z charakterem.

WILA: Nie przeczę.

CZERSKI: Z czasem i ty dostaniesz może mniej zazdrosnego i każde z osobna szczęśliwem jeszcze być może. Po licha macie się męczyć, dręczyć, skoro usposobienia wa-

sze niezgodne... Wszystko to przekładaliśmy mu gorąco, ja i moja żona.

WILA: Ah, ty i twoja żona!

CZERSKI: W waszym interesie własnym.

WILA: W naszym interesie...

CZERSKI: Czy cię to drażni? gniewa może?

WILA (ze źle ukrytą ironią): Mnie? oh, bynajmniej. Owszem, owszem, wdzięcznam wam nieskończenie. Ale cóż on?

CZERSKI: On, upierał się, bronił... z początku.

WILA: Z początku!

CZERSKI: Lecz powoli, stopniowo cichł... miękł... przekonywany naszymi argumentami.

WILA: Waszemi argumentami! (z coraz większą ironią) Aaa, moi drodzy, jacyście wy dobrzy, poczciwi, kochający!.. Dziękuję wam, dziękuję serdecznie. Co to jest mieć rodzinę! szczęście, rozkosz, najwyższy skarb na ziemi! Dziękuję wam; raz jeszcze, dziękuję! Zaczne serca.

CZERSKI: A teraz biegnę powtórzyć mu, żeś i ty z całego obrotu rzeczy nader kontenta i zadowolona.

WILA: O, niezmiernie, niezmiernie! Idź, spiesz się, powtórz mu, oznajmij...—A może już pomyślałeś i o jakiejś następczyni mojej... przyznaj się.

CZERSKI: O nowej dla niego bogdance?.. O, i to przyjdzie, przyjdzie z kolei, bądź spokojna. A nawet zdaje mi się, że moja żona ma już kogoś na oku — ale to jeszcze sza! tajemnica! Skoro spenetruję lepiej, nie omieszkam poinformować ciebie natychmiast—do widzenia!

(Odchodzi na lewo).

## SCENA SZESNASTA.

WILA (sama): Ślicznie! cudownie! drogi braciszek, bratowa najmilsza! Jacy oni czuli, jak dbali o moje szczęście!.. A i oni! prędko dał się przekonać, przerobić prędko... Przez całą godzinę ani spojrzał na mnie, ani przemówił... Oh, a tak chciał umierać... Boże, jak to nikomu wierzyć nie można! Ani umarł, ani się nawet martwi!.. Ale o cóż mi idzie? tem lepiej właśnie, tem lepiej. Jabym mu tego zamknięcia nigdy przebaczyć nie mogła, nie umiała... Miałby mi wyprawiać sceny, przepraszać, przysięgać... po co? na co? lepiej skończyć odrazu... Co prawda, nie spodziewałam się, że pójdzie tak łatwo, tak gładko, ale przy pomocy dobrych ludzi wszystko widać pójść może, jak z płatka... Tem lepiej, tem lepiej... uwolnili mnie od zazdrośnika — jestem znowu wolną, swobodną, panią mych czynności... aż mi lżej na sercu... gotowałam śmiać się, bawić, śpiewać...

(Siada do fortepianu i śpiewa walca, którego w poprzedniej scenie grała. Śpiew jej z początku wesoły, pełen sztucznego humoru i werwy, staje się coraz bardziej nerwowym, smętnym, aż w końcu uderza w płacz spazmatyczny, przy akompaniamencie. Nakoniec, wsparłszy głowę o pulpit, łka boleśnie, porwana żalem. Z lewej wchodzi Czerscy i Juliusz. Wila ucieka na prawo).

## SCENA SIEDEMNASTA.

CZERSCY, JULIUSZ.

JULIUSZ: Nie, państwo drodzy... ja dłużej udawać nie zdołam, to mnie kosztuje zawiele... Przytem lękam się nie-

zmiernie, by ona bardziej jeszcze nie obraziła się na mnie. Pozwólcie mi pójść do niej, paść na kolana, wytłomaczyć się, uniewinnić... Ja z jej gniewem żyć nie mogę, istnieć nie potrafię... Moje usprawiedliwienia, pokora, zmiękczyć ją muszą (całując Konstancję w rękę) Ja pójdę...

CZERSKI: Ani się waż! ani kroku! Na doskonałej jesteś drodze, bardzo blizki celu. Mówiłem ci już, jak zirytowana była mniemaną twoją rezygnacją, lży miała w oczach...

JULIUSZ (na wpół z radością, [na wpół „z żalem): Łzy! o Wilo!

CZERSKI: Sama do ciebie się przysunie, przemówi pierwsza — zobaczysz!

KONSTANCYA: Radca z ciebie, radca nie lada!

CZERSKI: Cóż chcesz, moja pani, poznałem was dobrze.  
(Wchodzi głębią Bonus).

## SCENA OŚMNASTA.

CZERSCY, JULIUSZ, BONUS, później WILA.

BONUS (trzymając w górze bilety): A co! a co! widzicie państwo, patrzcie, podziwiajcie!

CZERSKI: Cóż to?

KONSTANCYA: To, czem ty zająć się nie raczyłeś.

CZERSKI: Jeszcze te mizerne bilety!

BONUS: Mizerne! on tak umyślił, żeby podkopać moją zaskługę.

KONSTANCYA: Nie trwoż się Bonku, wdzięczność...

CZERSKI: Wdzięczność potomnych ścigać ciebie nie przestanie!

BONUS: Ba! Jabym wolał współczesnych.

(Wchodzi z prawej Wila).

WILA: Niema tu pana Bonifacego?

BONUS: Sługa pani uniżony.

Nb. (towarzystwo znowu dzieli się na dwie grupy, śledząc się nawzajem).

CZERSKI (do Wila): Otóż ją masz — zobaczysz, jak będzie lawirowała około ciebie.

BONUS (do Wili): Co pani rozkazać raczy?

WILA (przy medalionie w głębi): Tak mnie zachwylił medalion Koci, że... że... nie uspokoję się dopóki...

BONUS: Dopóki?

WILA: Nie będę miała własnego.

BONUS: Ah, gdybyś pani zaufać chciała skromnym zdolnościom moim...

WILA (zalogotnie): Doprawdy! zgodziłbyś się pan odtworzyć te rysy pospolite...

BONUS (z zapalem): Pospolite! ależ to główka bogini, bóstwa olimpijskiego! Może chcesz pani przedstawiać jedną z dziewięciu Muz, albo jedną z Gracyi... Lub w postaci alegorycznej: Melancholię — np., Zadumę?

WILA: O nie, nie, byle nie Melancholię, nie Zadumę. Ja pragnę coś uśmiechniętego, radosnego!... Czuję się niezwykle wesołą.

JULIUSZ (cicho do Czerskiego): Słyszysz! ona się czuje niezwykle wesołą!

CZERSKI (do Julia): Zmyśla.

JULIUSZ: Państwo mnie zgubicie.

BONUŚ:

Może Psyche, co wedle słów poety:

... Stała z nachyloną głową,

Wsluchana w ciszę mgły, światła i cieni,

Której nie mącił żaden głos z przestrzeni,

A twarz jej była blada marmurowo;

Na wiatr rzucone jasnych włosów sploty,

Wchłaniały w siebie słońca promień złoty

I rozrzucały światła snop w około,

Głowę jej wieńcząc promieniami...

WILA: Ślicznie! Ale jakżeż to trzeba być ubraną?

CZERSKI: Jak zwykle bóstwa mitologiczne, bardzo mało lub...

KONSTANCYA (przerywa). Mężu!

WILA: Dasz mi pan rysunek, panie Bonifacy, dobrze?

JULIUSZ (do Czerskiego): Jakoś ona wcale nie lawiruje w moją stronę, ani myśli!

CZERSKI: Czekaj.

JULIUSZ: Wdzięczny się do Bonusia!

CZERSKI: Na złość tobie.

KONSTANCYA (do Juliusza): Doskonały znak.

WILA (do Bonusia): Głowa jak powinna być uczesana?

BONUŚ (całując jej ręce z uniesieniem): O pani, za taką nagrodę jam mistrzem zostać gotów!

JULIUSZ: Co za zuchwalstwo! ja nie wytrzymam dłużej! (Chce biec do Bonusia, Czerski wstrzymuje go za poję).

CZERSKI: Bój się Boga, popsujesz wszystko!

JULIUSZ: Puść mnie! to nad siły moje!

CZERSKI: Widzisz przecie, że ona z umysłu, by ciebie drażnić...

JULIUSZ: Nie, nie, wy jej nie znacie, ona zalotność ma w naturze!... Ale ten młokos pozwala sobie rzeczy... Puść mnie, mówię! nauczę ja go!

KONSTANCYA: Panie drogi, chwileczkę cierpliwości... wszystko na marne, jeśli się zdradzisz... Odejdź lepiej, odejdź na Boga, my już tu poradzimy sami.

JULIUSZ: Oh, co ja cierpię! (Odchodząc na prawo, rzuca piorunujące spojrzenie Bonusiowi) Zuchwalec!

## SCENA DZIEWIĘTNASTA.

WILA, CZERSCY, BONUŚ.

WILA (do siebie): Odszedł! odszedł! Więc mi go już tak dalece ostudzić potrafili, że nawet kiedy widzi że ja... oh! to niegodziwość!

BONUŚ: Juli odszedł... widziałaś pani, jak zbladł z zazdrości?

WILA (z radością): Zbladł! istotnie zbladł? dostrzegłeś pan?

BONUŚ: Najwyraźniej — obrzucając mnie przytem tak piorunującym wejrzeniem, i... widocznie miał chęć rozszarpać mnie, tylko Czerscy go wstrzymali.

WILA (z radością): Ah, więc on jest jeszcze zazdrosny! jest? tak?

BONUŚ: O, jak Otello! Uciekł, żeby się nie zdradzić, zmieniony z bólu i wściekłości!

WILA (uradowana): Doprawdy!

BONUŚ: Lecz to już panią nie obchodzi zapewne... Wszakże między wami wszystko zerwane.

WILA (rozstagniona): Tak, tak zerwane.

BONUŚ: Wracając do Psyche...

(dalej rozmawiają pocichu).

KONSTANCYA (do męża): Wiesz ty, ja się o tego Jula obawiam na seryo — on cierpi na serce a Wila upór swój posuwa zadaleko. Wilo!

WILA: Hm? (zbliża się).

CZERSKI (do Wili): Słuchajno... nie doprowadzaj ty tego Jula do ostateczności. Nie przeciągaj zbytecznie struny, by nie pękła! Strzeż się.

KONSTANCYA: O nieszczęście nie trudno.

WILA: Co! a przecież on już uleczony z miłości, jak utrzymywałeś!... Mój charakter zawzięty odstręczył go. Mężczyźni lubią jagniątko... a mnie daleko do tej doskonałości. To też opuszczam kraj — on prawdopodobnie zostanie w Warszawie dla pocieszenia się przy innej, przez was dla niego wybranej gołąbce, a za dziesięć lat, jeśli spotkamy się znowu, już tylko śmiać się będziemy z własnej... niemądrości!

KONSTANCYA: Odjeżdżasz więc stanowczo?

WILA: Czekam tylko na kufer z domu.

CZERSKI: I istotnie bez żalu rozrywasz ten związek?

WILA: Nie mogę dozwolić, by mnie zamykano, więziono! Jeśli według was kobieta, szanująca swą godność, jest czemś potwornem, czemś anormalnem, jakąś virago, tem gorzej dla was, moi panowie. Zatraciliście znać w sobie wszelki ideał zacności niewieściej, godności osobistej, skoro już nie wiecie, co czcic a co potępiać wypada.

(Wraca Juliusz z prawej).

## SCENA DWUNASTA.

CZERSCY, WILA, JULIUSZ, BONUŚ.

WILA: Dlatego, że kobieta, mamże zniewagę znieść z uśmiechem na ustach? Czasy rycerzy, kruszących kopie w obronie znieważonej niewinności, minęły bezpowrotnie. Dziś każdy gotów kamieniem rzucić na kobietę ale nie znajdzie się ani jeden, coby przed krzywdą osłonić ją potrafił. To też pozwolicie, że będziemy broniły się same i miłość bez szacunku do serc naszych nie znajdzie drogi!

JULIUSZ: Czy to do mnie Wilo stosujesz te wyrzuty? Mojaż to miłość jest bez szacunku?... Ależ ja Cię czczę, ubóstwiam!... inaczej czylibym tu był!...

WILA: W jakim tedy celu zamknąłeś mnie pan? dla zapobieżenia jakiemu przestępstwu? zdradzie jakiej? przeniesieniu się z mej strony?... Jeśli tak mało ufasz mojemu charakterowi, że mnie aż ryglami odgradzać musisz od świata, tom ja nie dla ciebie żona!

JULIUSZ: Ah, co mówisz pani! To było niezastanowienie, szal, obłąd... Czyliż dla chwilowego uniesienia zburzyć chcesz moją i swoją przyszłość!

WILA: Cała okolica szydzić ze mnie będzie, palcami wskazywać!.. Zamykana, więziona przez narzeczonego!.. Co pomyśla o mnie ludzie, sam ten Żelski, świadek twego czynu! Ah, co za wstyd, co za hańba!.. Ja panu tej sromoty nie przebaczę nigdy, nie zapomnę do deski grobowej!

JULIUSZ: To za surowo!.. Zastanów się pani, dużo w tem i własnej twojej winy. — Jesteś zalotną!

CZERSKI: Tak, tak, zalotną.

WILA: Być może. Zalotność jest to, nie wiem, wada czy zaleta, którą wpajają w nas od dziecka, strojąc i krygując jak lalki.

BONUS (na stronie): A którą, mówiąc nawiasem, my dość protegujemy.

WILA: Ale niezależnie od tego posiadamy sumienie i honor i uwłaczających podejrzeń nie przepuścimy!

JULIUSZ: Raz ostatni błagam cię...

WILA: Napróżno, dziś odjeżdżam. Zresztą ja... ja już... nie kocham... pana.

JULIUSZ: Co! nie! nie!.. Ha, w takim razie żegnaj pani. Złamałaś mi życie... ale natrętnym być nie potrafię. Żegnaj.

(Odchodzi głębią zrozpaczony. Wila ukrywa twarz w dłoniach).

## SCENA DWUDZIESTA PIERWSZA.

CZERSCY, WILA, BONUS, później DOMINIK i JULIUSZ.

CZERSKI: Ah, ty chyba nie masz serca, Wilo!

KONSTANCYA (do Wili): O, to się już nie godzi!

BONUS (na stronie): Śliczna była w tym gniewie... Jadę za nią do Drezna, jak Boga kocham, jadę!

DOMINIK (wbiegając wystraszony głębią): Proszę pana, proszę pana, nowy atak, serce... serce... (Pokazuje gestem jak gdyby serce pękło na dwoje).

CZERSKI: Co! serce mu pękło! nie żyje!

(Wybiega szybko głębią, Dominik za nim).

WILA: Ah!

(Pada zemdlona na kanapę. Bonus i Konstancya cuca ją. Powoli głębią wchodzi Juliusz).

JULIUSZ (spozstrzegłszy Wilę bezprzytomą): Wielki Boże! Wila zemdlona! co to jest? co się stało? (Kłeka u jej nóg, ujmując dłonie) Droga, ukochana, co tobie, co tobie!.. O ja nieszczęsny! Wilo, Wilo moja, przyjdź do siebie! oh!

WILA (budząc się z omdlenia—do siebie): Zabiłam go! zabiłam...

(Spozstrzegłszy klęczącego przed sobą, który schyloną na jej kolana głowę podniósł—oczom własnym nie daje wiary. Gra niema, przejście z rozpacy do uniesień radości).

Ah, Juli! Juli! Więc ty żyjesz! żyjesz! nie umarłeś! o mój jedyny, ukochany, najdroższy!

(Upada mu w objęcia).

CZERSKI (wracając): No, dzięki Bogu, pocziwy nasz  
Langner uratowany tym razem — doktor jest przy nim.

JULIUSZ: Droga, więc już nie gniewasz się na mnie?

WILA: Kocham cię!

(Uścisk).

---

## STRADUJĘ!

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE.